

Nicolas Barraeau

33 razy, mój kochany

Dla mojej matki – pokazała mi grób Heinricha Heinego i tyle innych rzeczy, o których zawsze będę pamiętał. Dziękuję za wszystko.

*Ach, ukochana ma, przyjdź,
niech wróci czas, niech trwa
znów tamten maj.*

Prolog

Na Montmartre, słynnym wzgórzu na północy Paryża, gdzie na Place du Tertre turyści tłoczą się wokół ulicznych malarzy, którzy uwieczniają na płótnie wątpliwej jakości obrazy, gdzie wiosną zakochani, trzymając się za ręce, błądzą tłoczonymi ulicami i wreszcie, leciutko zadyszani, przysiadają na schodach kościoła Sacré-Coeur, by w zachwycie spojrzeć na miasto, rozblaskujące w ostatnich promieniach bladego różu nim zapadnie noc – tam znajduje się cmentarz. Bardzo stary cmentarz, z piaszczystymi ścieżkami i długimi, cienistymi alejami okolonymi przez lipy i klony, z nazwami i numerami jak w porządnym małym miasteczku. Bardzo cichym miasteczku. Niektórzy ze spoczywających tutaj są sławni, inni zaś wcale. Są tu groby z efektownymi pomnikami i odzianymi w długie, kamienne szaty aniołami, które miękko rozkładają ramiona i wznoszą oczy ku niebu.

Mężczyzna o ciemnoblond włosach wchodzi na cmentarz. Trzyma za rękę małego chłopca i przystaje przed grobem znanym niewielu osobom. Nie leży tam żadna znakomitość. Żaden pisarz, muzyk czy malarz. Ani też Dama Kameliowa. Tylko ktoś, kogo bardzo kochano.

Jednak anioł wyrzeźbiony na przymocowanej do marmuru płycie z brązu jest jednym z najpiękniejszych na cmentarzu: głowa kobiety, która z powagą i chyba też ze stoicyzmem ogląda się za siebie, długie włosy opadają jej na twarz, jak gdyby z tyłu powiał właśnie wiatr. Mężczyzna stoi nieruchomo, dziecko zaś skacze pomiędzy grobami i ściga kolorowe motyle.

– Tata, patrz, motyl! – woła. – Prawda, jaki piękny? Jaki cudowny?

Mężczyzna ledwo dostrzegalnie kiwa głową. Dla niego nic już nie jest piękne, a w cuda od dawna nie wierzy. Skąd miałby wiedzieć, że to tutaj, dokładnie w tym miejscu, stanie się coś tak cudownego, że w istocie będzie równoznaczne z cudem. Teraz uważa się za najniezwyklejszego człowieka na świecie.

Na cmentarzu Montmartre poznał swoją żonę. Przed pięcioma laty, przy grobie Heinricha Heinego¹. Był słoneczny majowy dzień i wtedy właśnie zaczęło się coś, co jakiś czas temu nieodwołalnie się skończyło.

Mężczyzna rzuca ostatnie spojrzenie na wykonanego z brązu anioła o dobrze znanych rysach. Potajemnie pisze listy. Ale na to, co ma się stać, nie jest przygotowany. Tak jak nikt nie jest przygotowany na szczęście lub miłość. A przecież i jedno, i drugie zawsze jest tuż obok. W zasadzie jako pisarz powinien o tym wiedzieć.

¹ To jeden z największych poetów niemieckich (1797-1856), którego wiersze są popularne do tej pory. Znakomity liryk był również niezależnym publicystą o radykalnych poglądach, co spowodowało, że pobyt w Paryżu (od 1831 r.) zamienił się w przymusowe wygnanie aż do śmierci.

Mężczyzna nazywa się Julien Azoulay.

A Julien Azoulay – to ja.

Rozdział 1
Świat bez ciebie

Właśnie usiadłem za biurkiem, by dotrzymać obietnicy i wreszcie, wreszcie napisać do Hélène, gdy usłyszałem dzwonek do drzwi. Postanowiłem go zignorować, starannie odkręciłem pióro i poprawiłem leżący przede mną arkusz papieru. Napisałem „Kochana Hélène”, po czym jakoś bezradnie zapatrzyłem się w słowa, które widniały na karcie równie samotne jak ja w ostatnich tygodniach i miesiącach.

Co napisać człowiekowi, którego się kochało ponad wszystko na świecie i którego tragicznym zrzędzeniem losu już nie ma? Już wówczas przeczuwałem, że składanie jej tej obietnicy to idiotyczny pomysł. Ale Hélène się uparła. I jak zawsze, gdy moja żona wbiła sobie coś do głowy, nie dało się jej przekonać żadnymi argumentami. Zawsze stawiała na swoim. Hélène była nieustępliwa. Tylko ze śmiercią nie zdołała sobie poradzić. Ta była silniejsza nawet od niej.

Znowu zadzwieczał dzwonek, ale ja już daleko odbiegłem myślami.

Uśmiechnąłem się gorzko, a przed sobą wyraźnie widziałem jej bladą twarz o zielonych oczach, które przy zapadniętych policzkach z dnia na dzień wydawały się coraz większe.

– Chciałabym, żebyś po mojej śmierci napisał do mnie trzydzieści trzy listy – powiedziała, świdrując mnie wzrokiem. – Po jednym liście za każdy rok, który przeżyłam. Julien, obiecaj mi to.

– A na co to komu? – zapytałem. – Przecież życia ci to nie wróci. – Szalałem wtedy z bólu i strachu. Dzień i noc siedziałem przy łóżku Hélène, kurczowo ścisnąłem ją za rękę i nie chciałem, nie byłem w stanie wyobrazić sobie bez niej życia.

– Dlaczego miałbym pisać do ciebie listy, jeżeli nigdy nie dostanę żadnej odpowiedzi? Przecież to bez sensu – powtórzyłem cicho.

Zachowywała się, jakby nie słyszała moich protestów.

– Po prostu je napisz. Napisz mi, jak wygląda świat beze mnie. Napisz mi o sobie i o Arturze. – Uśmiechnęła się, a mnie łzy stanęły w oczach. – Uwierz mi, to ma sens. I jestem pewna, że w końcu dostaniesz odpowiedź. A poza tym ja będę czytać te listy, gdziekolwiek się znajdę, i będę mieć na was oko.

Potrząsnąłem głową i załkałem.

– Hélène, nie dam rady, po prostu nie dam rady!

Nie miałem tu oczywiście na myśli napisania trzydziestu trzech listów, tylko tego wszystkiego. Całego życia bez niej. Bez Hélène.

Patrzyła na mnie łagodnym wzrokiem, a współczucie bijące z jej oczu łamało mi serce.

– Moje biedne kochanie – powiedziała, a ja poczułem, ile wysiłku musiała włożyć w uścisk dłoni, który miał mi dodać otuchy. – Teraz musisz być silny. Musisz zatroszczyć się o Artura. Tak bardzo cię potrzebuje.

A potem powiedziała coś, co już wielokrotnie powtarzała w ciągu tych tygodni, jakie minęły od ostatniej, druzgocącej diagnozy, i co jej, w przeciwieństwie do mnie, najwyraźniej dawało siłę, by spokojnie zmierzyć się z nadchodzącym końcem.

– Julien, wszyscy przecież umrzemy. To zupełnie normalne i stanowi część życia. Tyle że moja kolej nadeszła nieco wcześniej. Możesz mi wierzyć, nie jestem szczęśliwa z tego powodu, ale tak to już jest. – Bezradnie wzruszyła ramionami. – No chodź, pocałuj mnie.

Odgarnąłem jej z czoła kosmyk miedzianoblond włosów i delikatnie ucałowałem jej wargi. W ciągu ostatnich miesięcy jej o wiele za krótkiego życia stała się szalenie krucha. Kiedy ją ostrożnie obejmowałem, bałem się, że coś jej uszkodzę, a przecież ciało i tak już miała zniszczone. Tylko jej odwaga nie zmalała ani na jotę i dalece przewyższała moją.

– Obiecuj mi – powtórzyła i dostrzegłem tłącą się w jej oczach iskierkę. – Założę się, że kiedy napiszesz ostatni list, twoje życie odmieni się na lepsze.

– Obawiam się, że przegrasz ten zakład.

– Mam nadzieję, że nie. – Przez twarz przemknął jej wszechwiedzący uśmiech, a powieki zatrzepotały. – A wtedy masz mi przynieść gigantyczny bukiet róż, największy na całym cholernym cmentarzu Montmartre.

Taka była Hélène. Nawet w najcięższych chwilach życia potrafiła cię rozbawić. Płakałem i śmiałem się jednocześnie, ona zaś wyciągnęła do mnie szczupłą rękę, a ja przybiłem i złożyłem jej obietnicę.

Słowo pisarza. W końcu nic nie mówiła o tym, kiedy mam napisać te listy. I tym sposobem z października zrobił się listopad, a z listopada grudzień. Po jednym smutnym miesiącu następował drugi, zmieniały się kolory pór roku, ale mnie było wszystko jedno. Słońce runęło z nieba, żyłem w dole czarnym jak atrament, dokąd nie docierały słowa. Nastął marzec, ja zaś nie napisałem jeszcze ani jednego listu. Ani jednego.

Próbowałem. Chciałem dotrzymać obietnicy, bądź co bądź to było ostatnie życzenie Hélène. Kosz na papiery pęczniał od zmiętych kartek, na których roiło się od niedokończonych zdań. Na przykład takich:

Moja najukochańsza Hélène, odkąd Ciebie nie ma, nie ma dla mnie...

Ukochana, jestem tak strasznie wyczerpany bólem i żalobą i coraz częściej zadaję sobie pytanie, czy życie w ogóle...

Najmilsza, wczoraj znalazłem tę maleńką kulę z Wenecji z sypiącym się śniegiem. Stała z tyłu Twojej szafki nocnej i od razu przypomniało mi się, jak oboje...

Mój najdroższy na całym świecie człowieku, tęsknię za Tobą każdego dnia, każdej godziny, każdej minuty... Czy Ty w ogóle wiesz...

Kochana Hélène, Artur wczoraj powiedział, że nie chce takiego smutnego taty i że Tobie przecież jest teraz dobrze wśród aniołów...

Hélène, mayday, mayday, tonący wzywa pomocy, wracaj, nie mogę...

Aniele mój, śniłaś mi się tej nocy i taki byłem zaskoczony, gdy rano nie znalazłem Cię obok mnie...

Moja najmilsza, moja utęskniona, nie myśl, proszę, że zapomniałem o złożonej Ci obietnicy, ale...

Ale po prostu nie napisałem niczego, co by wykraczało poza ten żaloszny bełkot. Siedziałem tak, przygnieciony nieszczęściem i dosłownie oniemiały. W ogóle nic nie pisałem, co nie jest akurat zaletą w wypadku pisarza, i to zapewne też był powód, dla którego ktoś tak natarczywie dzwonił do drzwi.

Z westchnieniem odłożyłem pióro na biurko, wstałem i podszedłem do okna. Na dole, na rue Jacob, stał elegancko ubrany pan niewielkiego wzrostu, w ciemnoniebieskim płaszczu przeciwdeszczowym. Najwyraźniej postanowił, że nie przestanie naciskać dzwonka. Obawiałem się tego.

Mężczyzna podniósł wzrok ku mokremu wiosennemu niebu, po którym wiatr gonił chmury, a ja się spieszenie cofnąłem.

Był to Jean-Pierre Favre, mój wydawca.

Odkąd pamiętam, poruszałem się w świecie pięknych słów. Najpierw pracowałem jako dziennikarz, potem jako scenarzysta. Aż wreszcie napisałem pierwszą powieść. Komedię

romantyczną, która trafiła w swój czas i ku zaskoczeniu nas wszystkich stała się bestsellerem. Wszyscy powtarzają, że Paryż to miasto miłości, ale niekoniecznie dotyczy to tematów, jakich szukają paryscy wydawcy. Jeden po drugim odrzucali mój rękopis lub w ogóle nie dawali żadnej odpowiedzi, aż pewnego dnia zgłosiło się do mnie małe wydawnictwo z siedzibą na rue de Seine. Jean-Pierre Favre, wydawca Éditions Garamond, nie rozglądał się jak jego koledzy za literaturą wysoką i intelektualnymi rozprawami, urzekł go mój zabawny, nieduży tekst pełen tragikomicznych zawirowań, który nie wstydził się romantyzmu.

– Mam już sześćdziesiąt trzy lata i coraz mniej rzeczy jest w stanie mnie rozbawić – powiedział, gdy po raz pierwszy spotkaliśmy się w Café de Flore². – Pańska książka, monsieur Azoulay, mnie rozbawiła, a to więcej niż można dziś powiedzieć o większości z nich. Tak czy owak im człowiek jest starszy, tym mniej się śmieje, może mi pan wierzyć. – Smętnie westchnąwszy, usiadł na skórzanej ławie pod oknem na pierwszym piętrze kawiarni, gdzie znaleźliśmy ustronny stolik, i uniósł ręce w komicznym geście rozpacz. – Gdzie podziali się ci wszyscy autorzy, którzy potrafią jeszcze napisać porządną komedię? Coś dla ducha i dla serca. Ale nic z tego! Wszyscy chcą pisać o beznadziei, o upadku, wielki dramat. Dramat, dramat, dramat. – Uderzył się kilkakrotnie w czoło okolone elegancko zaczesanymi do tyłu szpakowatymi włosami, które z wolna zaczynały się przerzedzać. – Wielkowiejska depresja, dokonujące morderstw niańki, upiorne wizje inspirowane Al-Kaidą i spółką. – Strzepnął ze stołu okruchy chleba. – Wszystko ma swoje usprawiedliwienie, tym niemniej... – Nachylił się i przeszył mnie spojrzeniem swoich jasnych oczu. – Chcę ci coś powiedzieć, młody człowieku. O wiele trudniej, niż się uważa, napisać dobrą komedię. Trzeba prawdziwego mistrzostwa, żeby wykreować coś, co nie byłoby pełne banałów, a do tego miało w sobie tę cudowną lekkość, która zostawia nas z przekonaniem, że życie mimo wszystko warte jest zachodu! Ja w każdym razie jestem już za stary na opowieści, po lekturze których człowiek dochodzi do wniosku, że najlepiej będzie, jeśli rozejrzy się za najbliższym wieżowcem, żeby z niego skoczyć. – Rozerwał niecierpliwie trzy tutki cukru, wysypał do świeżo wyciśniętego soku z pomarańczy i mieszał w szklance jak oszalały. I najwyraźniej przyszła mu do głowy nowa myśl: – Albo kino! Weźmy na przykład kino!

Zrobił pauzę dla efektu. a ja czekałem w napięciu, co powie. Ten człowiek był fantastycznym mówcą, jak zdołałem się już zorientować.

² Jeden ze sławnych lokali paryskich przy bulwarze Saint-Germain, założony w latach 80. XIX wieku – ulubione miejsce spotkań wybitnych pisarzy i artystów, od Jorisa-Karla Huysmansa przez Georges'a Bataille'a, Raymonda Queneau po Pabla Picassa czy egzystencjalistów, jak Jean Paul Sartre i Simone de Beauvoir. Od 1994 roku wręczana jest tu nagroda literacka Prix de Flore.

– Nic, tylko smutek i wariactwo z wyższymi ambicjami. Każdy dziś marzy tylko o jednym: żeby być niepowtarzalnym. Ale ja, rozumie pan, chciałbym się pośmiać. Chciałbym czegoś, co przyspieszy bicie mojego serca. – Złapał się za błękitną kamizelkę, którą nosił pod marynarką, i wypił wielki łyk soku pomarańczowego. Nagle przez twarz przemknął mu młodzieńczy uśmiech. – Widział pan ten film z japońskim rzeźnikiem, który zakochał się w swojej świni i na końcu oboje popełniają harakiri? Pytam, kto wymyśla takie rzeczy? – Potrząsnął głową. – Ludzkość oszalała. Szczerze boleję, że nie ma już takich ludzi jak Billy Wilder czy Peter Bogdanovich. To byli porządni fachowcy. – Parę razy cmoknął z uznaniem. – Można tylko mieć nadzieję, że Woody Allen jeszcze trochę pożyje. *O północy w Paryżu* był po prostu rewelacyjny, prawda? Ten obraz zachwycał, inteligentnie bawił, wywoływał uśmiech na twarzy. Oboje z żoną jak w uniesieniu *wyphynęliśmy* z kina.

Ze zrozumieniem kiwnąłem głową. Też widziałem ten film.

– Niech mi pan wierzy, monsieur Azoulay, życie to nie bajka i dlatego potrzebujemy takich książek jak pańska powieść – zakończył swoją płomienną przemowę i wręczył mi pióro marki Montblanc, bym złożył podpis. – Wierzę w pana.

Od tego czasu minęło sześć lat. Moja powieść stała się bestsellerem, z Garamondem zawarłem umowę na trzy kolejne książki, co zapewniło mi bezpieczeństwo finansowe na najbliższe lata i pozwoliło na luksus zajmowania się wyłącznie pisaniem. Poznałem rudowłosą Héléne, która uwielbiała wiersze Heinricha Heinego, a pod prysznicem śpiewała piosenki Sachy Distela. Była nauczycielką, była w ciąży, była moją żoną, a my byliśmy rodzicami chłopczyka, który – jak Héléne stale podkreślała – miał szczęście, że odziedziczył po mnie ciemnoblonde włosy, a nie marchewkową strzechę po niej.

Życie było pogodne jak letni dzień i za co byśmy się nie zabrali, szło nam po prostu jak z płatka.

Póki nie nadeszła katastrofa.

– Krew nie tam, gdzie trzeba – powiedziała mi pewnego ranka Héléne po wyjściu z łazienki. – No cóż, miejmy nadzieję, że to nic strasznego.

Ale to było straszne. Straszniejsze niż straszne. Byłem autorem komedii romantycznych, które się dobrze sprzedawały, zarabiałem na tym pieniądze. A tu raptem mój słownik wzbogacił się w tak głęboko wyrażające z równowagi słowa jak „nowotwory kolorektalne”, „markery nowotworowe”, „cisplatyna”, „przerzuty”, „pompa morfinowa”, „hospicjum”.

Z pierwszej ręki dowiadywałem się teraz, że życie to nie bajka, mimo że Héléne trzymała się dzielnie, a prognozy na początku były optymistyczne. Po roku myśleliśmy, że

choroba została pokonana. Było lato, pojechaliśmy z Arturem do Bretanii, nad morze. Życie było cenniejsze niż kiedykolwiek, było darem. Raz jeszcze udało nam się wyjść z kłopotów obronną ręką.

A potem Héléne zaczęła się uskarżać na bóle kręgosłupa.

– Powoli zamieniam się w starą babę – żartowała, owijając się na plaży w kolorowe pareo. Wtedy już miała wszędzie przerzuty, wbiły się w jej ciało niczym tysiące małych raków i nie dało się ich przegonić. W połowie października było po wszystkim. Guzy się rozpadły, a wraz z nimi Héléne. Moja wiecznie optymistyczna, pełna radości życia żona, która tak lubiła się śmiać. Razem z nią przepadły wszystkie nasze marzenia.

Zostałem z naszym synkiem, z sercem ciężkim jak ołów, z niedotrzymaną obietnicą i ze stopniowo topniejącym kontem bankowym. Był marzec, od roku nie napisałem ani linijki, nowej powieści miałem całe pięćdziesiąt stron, więc mój wydawca – co rozumiałe – stał właśnie pod drzwiami i chciał wiedzieć, co dalej.

Dzwonek umilkł.

Monsieur Favre był delikatnym człowiekiem. Okazał się pełen zrozumienia. Przez te wszystkie miesiące nigdy mnie nie naciskał. Dał mi czas, bym się pozbierał, poradził sobie z tym wszystkim, ogarnął się, jak to się ładnie mówi. Ani słówkiem nie wspomniał o powieści, która zgodnie z jego planami miała być moim tegorocznym *rentrée*³, a potem milcząco została przesunięta na kolejną wiosnę.

Dopiero przed dwoma tygodniami spróbował nawiązać kontakt. Najwyraźniej czas ochronny minął. Ostrożne podpytywanie nagrane na automatycznej sekretarce, włączonej przez całą dobę. Współczujący list, na końcu którego widniało pytanie. Jego numer wyświetlający się po raz kolejny na mojej komórce.

Udawałem martwego, ale w jakimś sensie naprawdę nim byłem. Moja kreatywność zagasła. Błyskotliwość językowa przekształciła się w cynizm. Dzień po dniu brnąłem przez życie. Nie nadawałem się do rozmów, bo co niby miałbym mu powiedzieć? Że już nigdy nie napiszę czegoś sensownego? Że już dawno zabrakło mi słów? Do głębi nieszczęśliwy człowiek, którego zaangażowano do pisania wesołych komedijek – oto ironia losu.

Kto wymyślił coś tak perfidnego? Bóg był sadystycznym żartownisiem, a ja byłem beznadziejnie zgubiony.

– Dramat, dramat, dramat – wymruczałem z gorzkim uśmiechem i znowu zerknąłem przez okno. Monsieur Favre zniknął, więc z ulgą odetchnąłem. Najwyraźniej dał za wygraną.

³ Powrót.

Zapaliłem papierosa i spojrzałem na zegarek. Jeszcze trzy godziny, a potem będę musiał odebrać Artura z przedszkola. Artur stanowił jedyny powód, dla którego w ogóle jeszcze żyłem. Dla którego w ogóle jeszcze wstawałem, ubierałem się, kupowałem w sklepie coś do jedzenia. Odzywałem się.

Koleś nie odpuszczał. Miał to po matce. Ciągnął mnie obiema rączkami, by mi pokazać, co zbudował z klocków lego, nocą wpełzał mi do łóżka i ufnie się przytulał, wciągał mnie w rozmowy, stawiał tysiące pytań, snuł plany. Mówił: „Chcę do zoo, zobaczyć żyrafy”. Albo: „Tata, drapiesz”. Lub: „Obiecałeś, że mi poczytasz”. Czy też: „Czy *maman*⁴ jest teraz lżejsza od powietrza?”.

Zgasiłem papierosa i ponownie usiadłem przy biurku. Za dużo paliłem. Za dużo piłem. Odzywiałem się tabletkami na żołądek. Wyjąłem nowego papierosa z paczki opatrzonej odrażającym zdjęciem płuc przeżartych rakiem. A proszę bardzo! Marnie skończę, ale przedtem napiszę przynajmniej ten jeden list – pierwszy z trzydziestu trzech listów, które wydawały mi się tak potrzebne jak dziura w moście. Listy do umarłej. Przejechałem ręką przez włosy.

– Hélène, dlaczego... dlaczego? – wyszeptałem i zapatrzyłem się w ujętą w ramki fotografię stojącą na biurku obitym ciemnozieloną skórą.

⁴ Mama, mamusia.